

To nie kabaret!

- Chciałabym, żeby Poznań zaczął się dotykać - mówi Joanna Drozda, reżyserka „Extravaganzy”

W piwnicy Teatru Polskiego zadebiutowała w lutym „Extravaganza”, widowisko satyryczno-erotyczno-aktorskie, którego inspiratorem był Maciej Nowak, dyrektor artystyczny teatru. Pierwszy odcinek ma tytuł „O miłości”. „To ażyl w niespokojnych czasach. Miejsce, do którego schodzi się, żeby odnaleźć wolność - ciała i umysłu, a także szansa, aby na powrót odzyskać zdolność do nieskrępowanego fantazjowania na temat otaczającej nas rzeczywistości” - piszą twórcy. „Extravaganza” łamie tabu - wyśmiewa Poznań z jego konwencjami towarzyskimi, koturnowość, fasadowy katolicyzm.

ROZMOWA Z
JOANNĄ DROZDĄ

MARCIN KAŃKI: Grała pani u Krystiana Lupy, reżyserowała „Hamleta”, a w Poznaniu robi pani kabaret...

JOANNA DROZDA: - To nie jest kabaret!

Teatr też unika tego określenia. Na plakatach jest „Extravaganza”. Dlaczego?

- Powiedziała to Maćkowi Nowakowi: chcesz robić kabaret, to znajdź kogoś innego, bo kabaret źle mi się kojarzy. Zadzwoił do mnie w październiku ub. roku, zaprosił do restauracji warszawskiej na jedną z tych swoich kulinarnych degustacji, gdy ocenia serwowane dania. Siedzi, Maciej zamawia po kolei posiłki i pyta: „Zrobisz kabaret?”. OK, mówię, ale pod warunkiem że nie robimy kabaretu. Nowak zdziwiony, a ja mu tłumaczę, że kabaret dzisiaj to nie „Dudek”, „Starsi Panowie”, Mann i Materna, czyli intelektualnie podany dowcip, ale prząsna rozrywka z telewizji i rechat bez refleksji.

Znaliście się?

- Maciej znalazł mnie z imprez środowiskowych, z aktorstwa, z reżyserowania „Hamleta”, który zrobiłam ironicznie, z dystansem. Nie mógł oczekiwać, że zrobię mu kabaret, jaki znamy z telewizji. Doskonale się zrozumieliśmy w naszych oczekiwaniach.

Miała pani w tym doświadczenie?

- Nie robiłam wcześniej niczego, co przypomina klasyczny kabaret, ale wychowałam się i żyłam kabaretem dzięki mojemu ojcu, Tadeuszowi Drożdziej. Inaczej jednak ukształtował się mój gust. Bliżej mi do kabaretu weimarskiego z Berlina lat 20., w którym środkiem wyrazu jest na równi tekst i ciało. W Polsce ciało to nadal problem, także na płaszczyźnie teatru, a kabaret berliński, choć kojarzony z nagością, wyuzdaniem,

to mówił jednak o bardzo ważnych sprawach, odnoszących się do rzeczywistości, także tamtej - okresu lat 20., gdy Niemcy szukali tożsamości politycznej.

Zrozumieliśmy się z Maćkiem w lot. Byliśmy chyba przy dziesiątym daniu, przy krewetkach, gdy mówi: „A wiesz, świetnie się składa, bo w Teatrze Polskim w Poznaniu mamy piwnicę, gdzie mogłabyś zrobić taki weimarski show”.

Podczas spektaklu otwarty jest bufet, publiczność może swobodnie się przemieszczać. To ważne?

- Bardzo. To też był element klasycznego kabaretu, by oprócz świetnych tekstów, artystów, tańca, zmysłowości i muzyki na żywo była swoboda. By nie było szklanych ścian między widownią a sceną, i karnego słuchania. Jak chcesz, idziesz do baru albo na papierosa. Nikt w naszej „Extravaganzie” nie musi siedzieć sparralizowany konwenansami. Sama uwielbiam pić alkohol, także w trakcie dobrej sztuki teatralnej.

Gdzie tak jest?

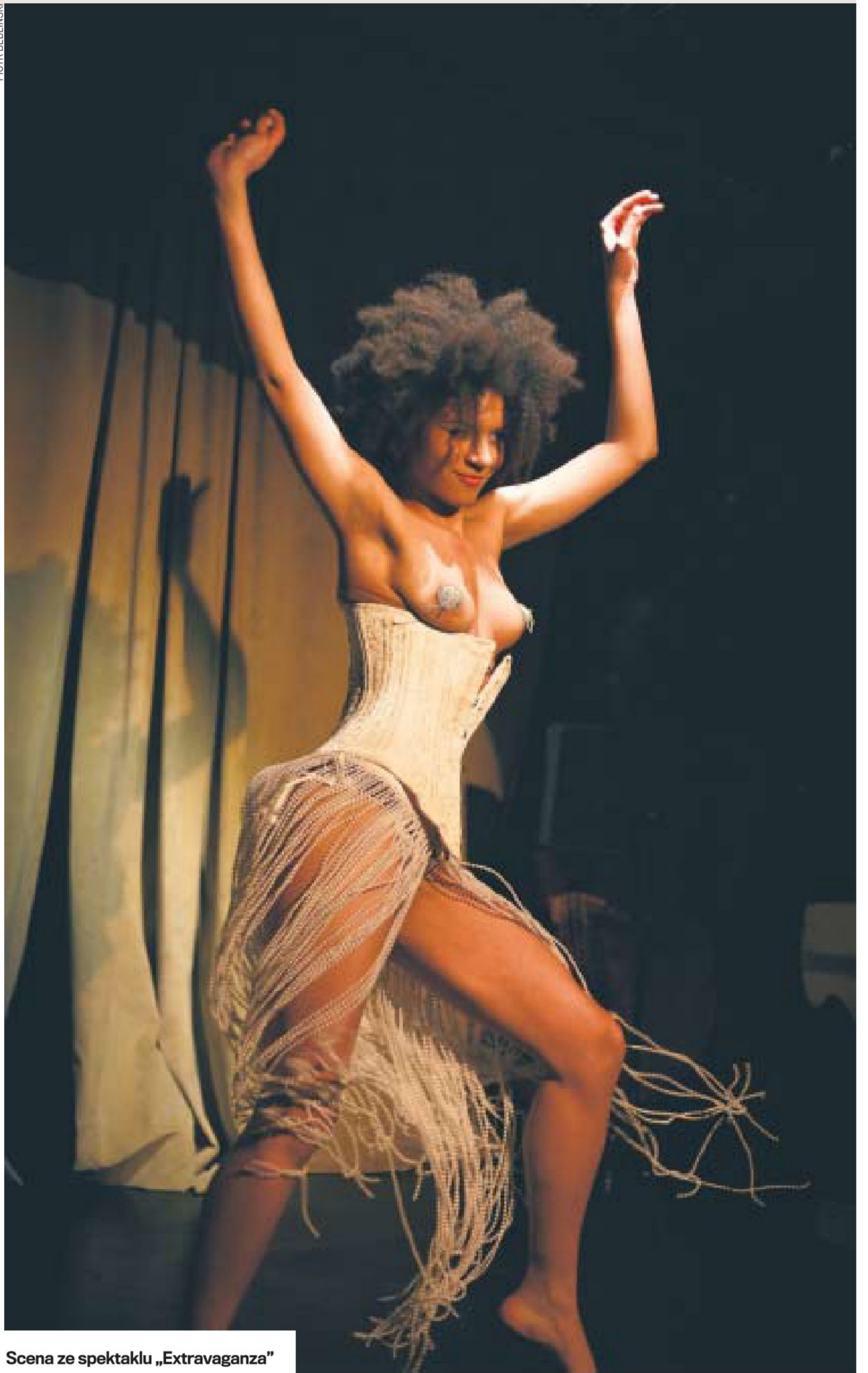
W Polsce nigdzie, tu trzeba się kryć, choć w Berlinie nie ma z tym problemu. Dlatego biorę szklankę z bufetu z winem i trzymam w torebce. Oglądam i popijam. To moje marzenie, które realizujemy w „Extravaganzie” - bufet podczas spektaklu. **Prawie cały 2,5-godzinny program odnosi się do Poznania. Jest Grażyna K., bizneswoman, jest oślicca Antonina, której odebrano męża po interwencji prawicowej radnej, jest „bakteria społeczna”, która lubi arcybiskupa Paetza. Konfrontujecie się z miastem.**

„Extravaganza” opowiada przede wszystkim o człowieczeństwie. Maciej chciał, by teksty były osadzone w Poznaniu lub nawiązywały do teraźniejszości. Mierzymy się z Poznaniem, ale jako mikrokosmosem Polski. Maciej nie zwierzał mi się, co zobaczył w Poznaniu przez kilka tygodni swojego pobytu, ale powiedział: tutaj jest wiele do opowiedzenia, bo to nie jest miasto jak każde inne.

A dla pani, jakie to jest miasto?

Zawsze myślałam: wow, Poznań, supermiejsce! Kojarzył mi się z rodziną Kulczyków, zamożnością, bliskością zachodniej granicy, świetnymi inicjatywami artystycznymi, Małtą, bogatą sceną tańca. Ale też z problemami artystów z władzą, jak sprawa „Golgoty Picnic”. Przyjechałam do Poznania kilka lat temu, by obejrzeć „Dziady” w reżyserii Radosława Rychcika, spotkałam się z kolegą dramaturgiem, by pokazać mi miasto. Poszliśmy do Starego Browaru. Powiedziała mi, że jestem zachwycona miastem, że wielu znajomych realizuje tu projekty artystyczne, Grażyna Kulczyk daje przestrzeń twórcom... A on do mnie: „Oszalałaś?”. I opowiada, że to jest straszne miasto, tu nikt nie przyjeżdża, artyści uciekają, bo tu rzadzi święta klasa średnia, której sztuka nie interesuje. Oslupiałam. Poszłam na „Dziady” - świetny spektakl, i mówię sobie: niemożliwe, że tak dobre rzeczy gra się

PIOTR BIELIŃSKI



Scena ze spektaklu „Extravaganza”

w takim okropnym mieście. Zapomniałam o tym, a potem odzywa się Maciek Nowak. Proszę o teksty Jędrzeja Bursztę i Wojtkę Kaniewskiego, poznaniaków, z którymi współpracowałam w teatrach. Burszta pięknie pisze, Kaniewski pracował ze mną przy „Hamlecie”. A oni: „Sztuka w Poznaniu? Oszalałaś?!”. Ale o co znowu chodzi, pytam, czy to miasto ma jakieś piętno? Przecież muszą tu być różni ludzie. A oni: „W Poznaniu nic się nie dzieje, pójdz w południe na miasto”. Poszłam. Rzeczywiście, pusto. Ale może wszyscy pracują, myślę sobie. Nie, mówią moje poznaniaki: wszystko pozamykane, firanki zasłonięte. Dzieje się, mówią mi, w nocy, gdy wszystkim puszczają hamulce, ale tylko po piwnicach. Myślałam, że straszą mnie jakimś Fritzlem, a im chodziło o miejsca rozrywki, typu kluby go-go.

Zaczęliśmy próby. Kuba Papuga, jeden z aktorów, który ma dziewczynę poznaniankę i mieszka z jej matką, opowiedział im o programie „Extravaganzy”. A one: nie ma szans, nikt



Poznań podoba mi się, bo jest taką małą Polską, która wie, że nie wypada, ale między nogami czuje, że chce

na to nie przyjdzie, Poznań nie jest zainteresowany tym, by się z niego śmiać. Grażyna K., ośiolki, penerstwo, Paetz, zaściankowy katolicyzm, erotyka - to nie przejdzie.

Choć spektakl ma mocne fragmenty, prowokacyjne, jak monolog Piotra Kaźmierczaka, który mierzy się z tematem sprawy Paetza czy afery w chórze chłopięcym, to nie przyświeca mi potrzeba zmiany świata. W spektaklu pada takie zdanie: „O nic nam nie chodzi”. Bo nie chodzi o to, by maszyną do pisania ratować świat przed katastrofą, ale by robić to, na co ma się ochotę.

„Extravaganza” jest wysublimowana estetycznie: stroje, choreografia. Skąd pomysły?

Z teatru. Jestem aktorką, mam własne gusta, których do końca nie znalazłam, nie miałam, gdzie sprawdzić. Wyszły na jaw, gdy zostałam zaproszona do tak specyficznej przygody. Nowak mówił mi w trakcie pracy: rób to, co chcesz, a nie to, co myślisz, że jest dobre. Puść się, bądź sobą. Zresztą uzbroidł mnie w świetną ekipę z Mi-



BARTOSZ BOBKOWSKI

„Extravaganza”

„Extravaganza. O miłości” – spektakl w reżyserii Joanny Drozdy – grany jest w Piwnicy pod Sceną Teatru Polskiego w Poznaniu. Najbliższe spektakle: 17, 18 i 31 marca, godz. 22. Bilety w cenie 100 zł. Podczas spektaklu czynny jest bufet.

chalem Łaszewiczem na czele, który zajął się oprawą muzyczną. Jest Robert Krager, który poszalał ze scenografią i kostiumami, czy Justyna Białowas, choreografka. Ekipa aktorska jest świetna. Gdy u góry kończą spektakl, jak ostatnio „Krakowiaków i górali”, schodzą do piwnicy i wkładają kostiumy do „Extravaganzy”.

Ale to inne role, z seksem, mocnym dowcipem. Weszli w to gładko?

To profesjonalisci. Ale by szybciej poczuli stylizację, w której najważniejsze jest ciało i zmysłowość, musieli się bardziej otworzyć, dlatego spotkania zaczynamy zawsze od przytulania, czułości. Gdy puszcza im zahamowania, gramy (*śmiech*).

Aktorzy mówili, że żyli w teatrze, który był na uboczu, a teraz jest nowa dyrekcja, atmosfera, przestrzeń twórcza, więc wzięli oddech. Jeden z aktorów powiedział mi po próbie: nas tu wcześniej jakby nie było, nikt nie interesowało, że tu jesteśmy, a teraz jest Nowak, więc nie martwimy się tym, czy jesteśmy zdolni, ale tym, jaki będzie kolejny repertuar, czy podolamy.

Mamy też aktorkę amatorkę, Sylwię Achu, która wchodzi między widownie, gra, rozmawia, rozbiera się, wchodzi w fizyczny kontakt z widzami, a to nie jest łatwe.

Mój ulubiony moment to numer Sylwii, gdy wychodzi nie do końca ubrana, czym zakłóca porządek na widowni, a jest przy tym piękna, młoda i robi striptiz. Zaczyna mówić i nakłuwca wszelkie możliwe tabu. Uwielbiam patrzeć, jak lek publiczności ucieka przed przyjemnością, a ludzie otwierają się na drugiego człowieka.

Chodzi nam o to, by zobaczyć swoje zmysły, bo to spektakl o namiętnościach, w którym nie chodzi o obśmianie rzeczywistości, bo to zbyt łatwe, od tego mamy internet. Nie chodzi też o to, by ponabijać się z Beaty Szydło, ale wyobrazić sobie, że Beata Szydło chciałaby kochać i z kimś się całować. I całuje się z Angelą Merkel. Obsadziłam te partie rolami męskimi, bo wtedy łatwiej zobaczyć pleć.

Skąd w pani taka inspiracja? Pani ojciec jest znanym satyrykiem, z teatrem nie ma wiele wspólnego.

Jestem z rodziny, która bardzo lubi popkulturę, a ja jestem raczej wyjątkiem. Zawsze uciekałam do teatru. **Z jaką rozrywką kojarzy się pani ojciec?**

Pierwsze skojarzenie, to bardzo dobra satyra, ale w pewnym momencie ojciec zszargał to programem telewizyjnym „Śmiechu warte” [program, w którym Tadeusz Drozda prezentował filmy amatorskie z zabawnymi scenkami - red.]. Tego nie mogę mu trochę wybaczyć, bo było zaprzeczeniem jego twórczości. Pamiętam, jak wcześniej stał na scenie przed tysiącami widzów i tylko za sprawą słów doprowadzał ludzi do śmiechu. Widziałam, jak potrafi podać słowo, przytrzymać widownie, puścić ją, kontrolując występ. Tego doświadczałam w dzieciństwie i to podziwiałam. Przez telewizję, w której tylko robił miny, ta jego kariera zaczęła być zamazywana.

Nie robił tego chyba wbrew sobie, w końcu przedostał się do mainstreamu, zarabiał większe pieniądze. Ale to uświadomiło mi, że mam chyba inny gust artystyczny niż moja rodzina - nie oglądałam TVN Style, seriali, telewizyjnej satyry, chcę się oderwać, uciec z domu, przeżywać inną estetykę.

Odkryłam teatr ambitny, który wymaga skupienia, myślenia, oddania się.

Pamiętam, że miałam może osiem lat, gdy stałam na stole, wśród przyjaciół rodziców, śpiewałam za Kaliną Jędrusik: „Bo we mnie jest seks”. Wszyscy się zaśmiewali, mówili: „O! Asia będzie aktorką”. Nie robiłam nic w tym kierunku, dopiero w liceum wysłałam kasetę demo do USA, do Kansas City, gdzie jest autorska szkoła aktorska. Przyjęli mnie. To była ulga, gdy mogłam się przedstawić, a nikt nie pytał: „Ta Drozda? Córka tego Drozdy?”.

Dlaczego to ważne?

Nie ma nic budującego w tym, że zanim coś o sobie powiesz, każdy już ma wyrobioną w głowie historię przez pryzmat kariery twojego ojca. Jestem cholernie ambitna, mobilizowało mnie, by budować własną tożsamość, pracować na siebie.

W liceum byłam grzeczna. Mama, która była menedżerką ojca, mówiła: „Cokolwiek robisz, świadczy o rodzinie, o tacie - pamiętaj!”. Gdy nie pamiętałam, miałam cholernie poczucie winy. Wzrastałam w poczuciu, że rodzina jest najważniejsza - więc gdy miałam okazję, uciekałam. Byłam też środkową siostrą, czyli obsługiwałam starszą, a opiekowałam się młodszą. Moją ulubioną zabawą było kelnerowanie. Brałam tacę, chodziłam po domu i pytałam starszą siostrę, która leżała na kanapie i oglądała serial „Beverly Hills 90210”: „Czy ma pani ochotę na kanapkę?”.

W USA nikt mnie nie znał. Dowiedziałam się, że mam jakiś talent aktorski, zagrałam w prawdziwym teatrze. Poczulałam swoją wartość, gdy dwa uniwersytety złożyły mi propozycję, więc wracałam do Polski z myślą: okej, teraz wszystkich zmiotę. No i oczywiście nie dostałam się w Polsce do żadnej szkoły aktorskiej (*śmiech*). Słyszałam na egzaminach: nic pani nie umie, jest pani bezczelna. Dostałam się za drugim podejściem do szkoły aktorskiej w Krakowie.

W Krakowie poznałam mistrzów: Jana Peszka, Agnieszkę Mandat, Romana Garnarczyka. Tam zakochałam się w prawdziwym, ambitnym teatrze. Na trzecim roku spotkałam reżysera Krystiana Lupe. Potem grałam w Teatrze Starym u Pawła Miśkiewicza, w warszawskim Dramatycznym, w Bydgoszczy u Pawła Łysaka. Zrobiłam też własny spektakl „Brzeg-Opole”, po którym miałam wiele pytań, czy chcę dalej reżyserować, więc wystawiłam „Hamleta” w teatrze Imka.

Jest pani w Poznaniu pół roku. Przekonała się, jaki jest prawdziwy Poznań?

- Podobna mi się, bo jest taką małą Polską, która wie, że nie wypada, ale między nogami czuje, że chce (*śmiech*). Znam Poznań nocą i ze spektakli. Nocą, bo wychodziłam z prób późno, i nie zebrałam dobrych doświadczeń. Widziałam zakrwawioną kobietę w bramie, pana w beemce goniącego jakąś kobietę, dziewczyny w mini, które leżały na chodniku. Nie wiem, czy to obraz, czy wycinek, ale mam wrażenie, że

w Poznaniu jest dużo agresji, że ludzie trochę się tutaj nudzą, nie do końca wiedzą, co zrobić z tym nocnym życiem.

Widziałam też u nas widownie, a graliśmy siedem razy. Przychodzą ludzi ciekawi, otwarci na sztukę. Zdarza się, że po pierwszym zdaniu widownia umiera ze śmiechu, co mnie martwi, bo to znaczy, że nie chce słuchać, tylko się bawić. Ale zdarza się, że milczy, co zatruwa artystów. Za

każdym razem była inna widownia i taki chyba jest Poznań: nikt mnie nie przekona, że jest straszny, bo to nie jedna osoba, nie jedno miejsce. Do dzisiaj nie wiem, jaki jest naprawdę, ale chciałabym, żeby ludzie wyszli z podziemia namiętności i wspólnie oglądali u mnie popis ciała, a nie gdzieś pokątnie, po klubach go-go. Chciałabym, żeby Poznań zaczął się dotykać. ●

ROZMAWIAŁ **MARCIN KAČKI**